



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

NA GOLGOCIE.

Głos z krzyża

— Azali to łkasz ty, pod krzyżem leżąca,
Ty, w starganych złotych twych kos żalobie?

Magdalena.

— Gdy na niebie będzie gasł promień słońca,
Ciebie, Panie, położą w ciemnym grobie
I przywalą ciężkim kamieniem złości —
Głaz ci nie da matczynego objęcia...

Głos z krzyża

— W domu ojca mego, na wysokości
Jest promienny archanioł wniebowzięcia.
Zstąpi do mnie o dnia trzeciego wschodzie,
Na grób spłynie w złocistych brzasków łunie...

Magdalena

Panie! Panie! ciebie włócznia przebodzie,
Będiesz martwy leżał w krwawym całunie.
Lica twoje trupie błądź pobieli,
Krew zasklepi ci się w serdecznej ranie...
Więc łzy moje są jako łzy Racheli,
Więc ja szlocham przy nogach twoich, Panie! —

Głos z krzyża

— O miłośna! czemuś nie jest wierząca?
Czemu w sercu swem zatracasz nadzieję?
Ja ci mówię: o trzecim wschodzie słońca
Tchnienie życia na grób Boga powieje.
Przyjdzie anioł, głaz gniotący odwali,
Ruszy na mnie całuny zakrwawione,
Jak ci, którzy ciężki sen już przespali,
Westchnę, z czoła zdejmę cierni koronę.
I rzuciwszy twarde grobu węzłowie,
Kroków cichych nie spłoszę cię szelestem,
Kładąc rękę na schylonej twej głowie,
Oblubieniec niebieski rzeknę: — Jestem...

M. Ilnicka.

Charaktery kobiet u Kraszewskiego.

Książka wychodząca z druku w chwili, gdy ręka, która ją kreśliła, już jest martwą; gdy ta siła myśląca, czująca, sądząca, co tu była czynnikiem twórczym, już gdzieś uszła, zniknęła dla nas — sprawia wrażenie przejmujące i uroczyste. Taką pośmiertną książką Kraszewskiego, pierwszą z tych, które się ukażą, owoce ostatnie zadziwiającej i do statka wytrwałej płodności, jest powieść historyczna: „Męczennica na tronie.“ Nazwać ją można sformułowaniem pojęć Kraszewskiego o kobiecie naszej — charakterystyką tej kobiety, przedstawianej w zetknięciu ze światem obcym, ze społeczeństwem zagranicznym. Marya Leszczyńska jest tą *męczennicą na tronie*, w której właściwościach moralnych autor widzi typowe rysy charakteru Polki, tak, jak

go urobiły obyczaje i tradycje nasze, jak wykwitnął z jej własnego ducha. Kraszewskiemu duch ten przedstawia się pięknym i podniosłym, czystym, w samolubstwie nie skryształizowanym. Postacie kobiece są w powieściach jego przeważnie dodatnie, często postawione wyżej od mężczyzn, a usuwając na stronę te, które stanowią jakoby materyał do kolorytu obyczajowo-historycznego z epoki Saskiej i Stanisławowskiej, podzielić je można na dwa chóry: cichych kobiet w rodzinie i bohaterskich, z gorącym zapalem w piersiach, z pośród których zdaniem mojem najpiękniejsza, przedstawiona najwspanialej jest Lublana, w powieści ten sam tytuł noszącej, a będącej jakgdyby dalszym ciągiem „Starej Baśni“ i przedstawiającej Polskę tak, jak „Stara Baśń“, w jej czasach jakoby homerycznych, wyłaniającą się z łona natury na jaśń historyczną, a wśród tego kobietę wielkiego serca, taką, jakich potem będzie szereg cały wśród rodów szlacheckich — jak Gryzelda Zamojska, jak matka rodu Sobieskich.

Jest-to odmiana jedna tego typu kobiety naszej: heroicznej, ofiarnej. Drugą jest ta słodka, tkliwa, obowiązkowi i miłościom swym tak wierna i oddana, że na egoizm, na wywyższone swego ja postawienie, już miejsca tam niema, a tę przedstawia córka filozofa, Marya Leszczyńska. Kraszewski tak ją pojął i tak ją chce czytelnikowi przedstawić przez *Słowo wstępne*, w którym pisze: „Królowa Francji jest przede wszystkim, nietylko krwią, rodem, pochodzeniem, ale wychowaniem, przekonaniem, tradycjami, które ssala od dzieciństwa — Polką: skromną, pobożną, naiwną dziewczicą polską, potem polską matroną i w całym znaczeniu tego wyrazu idealną niewiastą polską, obdarzoną tem, czem natura wyposażyła kobiety nasze.“

„Francuzi widzą w niej istotę jakąś wyjątkową, a nawet ceniąc wysoko, nie mogą dostrzedz wpływu i znaczenia jej narodowości w ukształto-

waniu się tej kobiety — nie widzą w niej kobiety naszej, która siły swe winna była temu, co z domu rodzicielskiego, przepelnionego tradycją naszą wyniosła. Przeciwnicy lekce ważą ją, przypadkowi przypisując, że mogła nieulekniona, milcząca, spokojna, według nich, niedaleko widząca, dotrzeć do końca bez skargi na ustach.“

„Bliżej wpatrując się w tę świętą niewiastę, my szczególnie, dla których ona jest kobiet naszych typem i ideałem, lepiej od Francuzów zrozumieć ją i ocenić powinniśmy. Takich, jaką ona była na tronie, my po naszych pałacach i dworach mieliśmy matron wiele, walczących często we własnym domu z zepsuciem, z niewiarą, które u kolebki dzieci zasłaniają jej piersią nieustraszoną. Dla nas królowa ta będzie dawną znajomą, zamiast skromnego rąbka, mającą koronę na czole.“

I przez cały ciąg książki, przez cały ciąg ciężko smutnych dziejów tej nieszczęśliwej królowej, którą lud francuzki nazywał „dobrą królową“, nie zaniedbuje Kraszewski obserwować i wykazywać w czynach i postępkach Leszczyńskiej właściwości charakteru Polki, tak, że możnaby tę powieść jego nazwać monografią kobiety naszej, której duchowe rysy chcąc lepiej uwidatnić, stawia ją na tle stosunków życia i obyczajów obcych, aby występowały przed oczy czytelnika jaśniej i wyraźniej. Jemu, który tak długo żył między obcymi, zdaje się szczególnie o to tu chodzić, aby ta duchowa indywidualność jej odznaczyła się w odrębności swojej.

Religijność, pobożność prawdziwa, nie zamknięta w przepisanych formułkach praktyk nabożnych, nieograniczająca się na nich, ale ewangelicznie w cnotach żywego życia spełniana; silne poczucie obowiązku, szlachetna czystość obyczajów, przelotną nawet płochością nieskalana, a razem godności ludzkiej wysokie pojęcie: to chciał Kraszewski jako cechy wybitne kobiety naszej pokazać i taki nacisk na to położył, że czytelnikowi prawie powtarzaniem to się wydawać może. Ale troskliwość to jest, która nie chce, aby tu cokolwiek uronionem zostało, co jest Polki obdarowaniem duchowym i zasługą. Zalicza on do tego i łagodną dobroć w stosunkach z klasami niższymi, nie zamykanie się pyszne w pańskości swojej, co sprowadza pewną poufałość obejścia się ze służbą, z ludem kobiety naszej, której—to za jej cnotę szczególną Kraszewski miał i nawet zwracał na to uwagę jednej ze znajomych swoich (w r. 1876).

Kiedy mu ona odpowiedziała, że przecież i Angielka, zwłaszcza pani wiejska, utrzymanie przyjaznych stosunków z ludem dóbr swoich za obowiązek sobie uważa, gdy w miastach istnieje wiele stowarzyszeń dobroczynnych, w których, obok datku, osobista już dobroć serca występuje—odparł, potrząsając głową, że to innem jest tam zgoła, niż u nas. U Angielki to cnota filantropii i za taką też uchodzi, jako taka jest wykonywana, gdy u nas to poprostu życzliwa skłonność jednej istoty ludzkiej dla drugiej, która się naturalnie w stosunkach wzajemnych rozwija. Na poparcie swego zdania przytaczał, jak Dickens dowcip swój ćwiczy na tych osobistych stosunkach pań dobroczynnych z ludem, jak w romansie swoim „Blackhouse“ wykazuje sztuczność i lichotę tych miłosiernych odwiedzin, któremi pobożne Angielki darzą wspieraną przez siebie ludność ubogą.—Nie ma tu naturalnego węzła — mówił, powtarzając to kilkakrotnie — tego czegoś, co posiadają nasze kobiety, zwłaszcza wiejskie. Pozostał piśmienny ślad tego przyznawanego przezeń kobiecie polskiej przymiotu, bo przedstawiając w Leszczyńskiej charakterystyczne cechy naszej kobiety, pisze: „Ta łatwość, z jaką Marya z ludem się porozumiewała, dając do siebie poufale zbliżać się wieśniakom, rozmawiając ze sługami i pozwalając im głośno wypowiadać myśli swoje, — była przez duchownych, jako cnota pokory chrześcijańskiej wynoszona, ale na dworze nie ceniono jej wcale. Wyrzucano królowej, znajdowano dziwaczne to, co w Polsce było przyjętem, bo powszedniem.“

„Królowa Marya nie straciła do końca życia tego charakteru polskiego. O obyczaju polskim mowy nigdy nie było, a mimo to zachował on się we wszystkim“, pisze dalej Kraszewski i do ry-

sów charakteru kobiety polskiej zalicza „walkę nieustającą ani na chwilę o godność własną, o los dzieci, o męża.“ Do walki tej, trudnej nad wyraz wszelki, bo działo się to przecież po orgiach Regencyi, i w przeddzień rewolucyi, Leszczyńska „miała jedynie to, czem ją uzbroiło wychowanie czysto polskie.“ I zdołała przy tej tarczy jedynej „nie czyniąc ustępstw nikomu, utrzymać się zwycięzko, wyjść z długoletniego boju z palmą w rękę“, a czytelnik, mając tak przedstawiony sobie już we „Słowie wstępnem“ obraz tej męczennicy na tronie, mimowoli podnosi się umysłem do skali tego na rzeczy poglądu i czyta może już inaczej, niżby to czynił, gdyby światło takie nie padło mu na postać tej kobiety polskiej w starciu ze światem i społeczeństwem obcem, wśród którego los ją postawił. Marya, czas jakiś namiętnie kochana przez męża, traci dlań wkrótce ten urok, który go dotąd do niej przykuwał, ale i tu jest ona kobietą naszą, w pojęciu godności małżonki, którą w ojczyźnie Maryi mąż nazywał „swoją panną“ jeżeli jej nie dawał słodkiego imienia „połowicy“. Oplątana chytrą siecią intrygantów, którzy dla celów ambicyi swojej młodego króla psują, nie występuje do walki z nędznymi zalotnikami, które jej go wydzierają. Traci szczęście, ale to jeszcze nie przegrana ostatnia na arenie życia: dostojność jej zostaje utrzymaną, królowa jest uwielbiana przez naród, matka posiada najwyższą miłość i taki cunek dzieci, że syn, Delfin Francyi, poważny, szlachetnych natchnień, młodzieniec, mówi: „Matka tego chce, a więc to dobrem być musi...!“

A był to z natury charakter tak samowolny i nakazujący, że dzieckiem będąc, zażądał raz od ochmistrza swego, aby w jego imieniu wydał rozkaz uciszenia się—wiatrowi!

A ona, ta łagodna „la bonne Reine“ ubogich „la sainte Reine“ zepsutych nawet dworaków, umiała jednak ten ostry charakter miłością swoją przeniknąć i ducha swego przeszczepić w pierś syna, który tak kocha i wierzy jak ona, takie, jak ona ma nadzieje i ideały życia, jest też tak czczonej w kraju, jak ona. Syn ten ukochany umiera, matka, która go traci, traci to, co było przy sercu jej najdroższego; niemniej siły jej ducha to nie łamie, choć wkrótce śmierć jej zabiera najmilszą z córek, choć ojciec, do którego zawsze była przywiązana miłością najtkliwszą, znajduje bolesny zgon w płomieniach.

Osamotniona coraz bardziej, bo i synową traci z kolei, gnę się nakoniec pod ciosami, ale fizycznie tylko, bo tu źródło sił zostało nakoniec wyczerpanem. Od śmierci Delfina wiadano już, że pobyt jej na ziemi długim nie będzie i teraz oto zwycięstwo jej nad tą niekczemną zgrają, która ją udręczała lat tyle, występuje jawnie i wspaniale. Ludwik przeraża się myślą, że utracić może tę opuszczoną małżonkę swoją, że grób może mu ją zabrać nazawsze i naraz znajduje się obok niej takim, jak gdyby to był mąż najtkliwszy. Zapóźno już... niestety! chociaż musiało to przynieść jej choć odrobiny pociechy, w życiu męczennikiem być jakąś kroplą słodyczy dla tej, pojonej tak długo żółcią i hyzopem; bo dodać tu trzeba, że Leszczyńska kochała stale, kochała gorąco tego niewiernego, zapominającego o niej męża. Opuszczona żona rumieniła się ze wzruszenia, gdy zjawiał się niekiedy w jej apartamentach, a księżna de Luynes zanotowała to w pamiętnikach swoich, że nie sypiała nocę całe przy każdej nowej płochości i niewierności króla.

Zwyciężyła przecież wszystkie te nędzne istoty, które go jej odbierały—zwyciężyła wszystkie jego wady i miała go ostatecznie, powróconego sobie. Zwyciężyła „zwycięztwem Golgoty“, jak Słowacki wyraził się o innym tryumfie, nastąpionym po przegranej i męczeństwie także. Gdy lekarze dostrzegli zbliżające się już do królowej widmo śmierci i objawili to mężowi, on przyprowadził do łoża matki córki, aby je pobłogosławiła, lecz wzruszony był tak, że przemówić nie zdołał. Ona domyśliła się jednak o co chodzi, wyciągnęła nad klęczącymi ręce, a jemu—jak to twierdził jego historyk, zdawało się, że spłynęło i nań coś tego błogosławieństwa—świętej...

Zwyciężyła i na innej, szerszej arenie: zwyciężyła w miłości i szacunku Francyi. Gdy poznano,

że choroba jest śmiertelna, takie tłumy ludzi, nietylko z Paryża, ale i z prowincyi, oddalonych nawet, zbiegały się i oblegały pałac, płacząc i zawodząc w rozżaleniu bolesnem, że Ludwik XV zawałał do Richelieu'go: — „Patrzaj! jak kochaną była...“

I pytał z zazdrością smutną: czy jego kraj-by tak żałował?..

Usunąć też należy zarzut stawiany niekiedy Maryi, że była za miękka, za łagodną, za posłuszną, że nie wystąpiła silniej i zręczniejsz do boju, z tymi, którzy odbierali jej męża i szczęście, a jemu godność króla i małżonka. Czy byłaby zwyciężyła w ten sposób?—a przytem wobec charakteru Ludwika XV, trzebaby jej było walczyć bronią niegodną jej. Stawać do walki... z kim?... Zebrała dumnie swoje szatę żony i kobiety uczciwej i cofnęła się w głąb swojej żaloby, swego cichego smutku, i to jest może najszlachetniejszy rys jej charakteru. Były przecież chwile, w których umiała być silną i odważną, w których nikt już nie zdołał jej oddalić od króla i dwa razy w czasie pożycia z nim zerwała swoją powagę królowej kordon broniącej jej do niego przystępu. Raz było to w pierwszych latach małżeństwa i w pierwszych początkach zubożenia Ludwika dla żony. On jest chory, a jej nie dopuszczają do niego, zatrzymują ją w przedpokoju, wymawiając straszny na ówczas wyraz: „ospa!“ ale ona dla tego właśnie tem uparciej się do drzwi ciśnie, aż musiały się dla niej otworzyć.

Ospy nie było, tylko złośliwa gorączka; ona czuwa dnie i nocę przy łożku męża, spełnia sama wszystkie wkoło niego posługi; a gdy zmęczona, wyczerpana bezsennością i niepokojem ulega zarazie, on, który już jest teraz zdrow, nie odpłaca jej podobnem poświęceniem. Wprawdzie odwiedza ją codziennie, ale na kilka minut tylko, jakgdyby dla formy jedynie, bo zepsuci towarzysze zabaw w małych apartamentach, odciągają go gdzieindziej.

Raz drugi matka dorosłych już dzieci, podobnie musi dostawać się do chorego męża, który dopiero pozwala jej przybyć do siebie, gdy sądzi, że chwila ostatnia ma mu wybić. W podróży pośpiesznie dniami i nocą odbywanej, powóz jej zmiąja się z karetą księżny de Chateauroux, którą oburzenie publiczne wypędza; przecież ta żona wierna nie zawraca w tył: śpieszy za głosem obowiązku i spełnia go łagodna i anielsko dostojna, zwyciężająca *zwycięztwem Golgoty!*

Oto postać, którą Kraszewski stawia, jako typ kobiety naszej w rodzinie, małżonki i matki rodu, wkoło której skupiają się dzieci, w której świętość i mądrość syn wierzy ślepo, którą córki kochają miłością najwyższą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NA RUINACH.

POWIEŚĆ

przez

Zygmunta Sarneckiego.

Urodziny Klary powitano w Zamku Bereźnickim wielką radością, chociaż pan generał, jej ojciec, i pani hrabina, Eleonora jej matka, pragnęły nie córki, lecz dziedzica wielkiego imienia, bo do dźwigania jego ciężaru potrzeba było silnych bark męzkich, a nie wątłych ramion dziewczynki, ledwie sztuką lekarską utrzymanej przy życiu, wychowanej w puchu, strzeżonej od lada powiewu, mogącego zmrozić nazawsze istnienie słabowitego niemowlęcia.

Nazwisko, pod którym mała Klarcia przyszła na świat, zapisywała historia niemal na wszystkich swych kartach od najdawniejszych do ostatnich czasów. Tylko na jednych jaśniało ono blaskami cnoty i zasługi, na innych czerniło się plamami występku i swawoli. Te dwie tradycje

krzyżowały się i gmatwały nieustannie, tak, że w narodzie otaczano je naprzemiennie: niekiedy czcią i miłością powszechną, niekiedy ogólną nienawiścią i pogardą. Ci zaś, co jeden po drugim brali brzemień tak różnorodnego dziedzictwa, nosili je z dumą wielką, niebacząc czy połyska promiennie, czy rdzą się brudzi; nazwisko swoje uważali za własność osobistą, a nie publiczną. Zapominali, że w samym jego wyrazie dźwięczą wszystkie wspomnienia zaszczytów i dostojenstw udzielonych przodkom przez Rzeczpospolitą w nagrodę ich znacznych czynów, niewymazanych z pamięci potomnych, tylko przez wdzięczność za owe czyny, pomimo zbrodni, jakimi niejednokrotnie obrażali majestat ojczyzny—dawniej, godność i uczucia społeczeństwa—później. To też, dzięki lekomyślniej pobłażliwości, dla możnych, u nas zwyczajnej, im smutniejszemi stawały się czasy, w tem posępniejszych barwach malowały się dzieje znakomitej rodziny, tem mniej na obrazie jej działalności było światła, a więcej cieni. Wśród otaczającej ją, upadającej i nikczemniejącej opinii okolicy... a może i kraju... ponury kolos jej dumy wyrastał coraz wyżej, coraz bardziej i bezczelniej urągając poziomowi, niemogącemu iść z nim w zawody, ani w złą, ani w dobrej sławie.

Najbliższą spadkobierczynią pierwszej była Klara, gdyż ojciec jej, August, z cynizmem bezwstydu, nagromadził wokół siebie w ciągu długiego żywota same cienie, same potworne hańby i poniżenia. Domniemanym zaś dziedzicem cnót tradycyjnych był Antoś, stryjeczno-stryjeczny bracysek Klarci, o kilka lat wcześniej od niej urodzony, syn hrabięgo Stanisława, który całym życiem, pełnym dowodów rycerskiego honoru i wierności dla świętych sztandarów, starał się okupywać winy dziadów, ojców i najbliższego swego krewnego. Zwaśniony z nim, oddawna nie widywał go wcale.

Jakby dla dopełnienia chaosu, jaki panował w tych stosunkach rodzinnych, żona generała, należała do rodziny, wprawdzie owiele mniej słynnej, zaszczytanej i znakomitej... ale nieskazitelnej. Na niższym i skromniejszym pnium drzewa genealogicznego jej rodu nikt nie dopatrzyłby hańbiącego pęknięcia, ani robaka znikczemnienia, toczącego owoce jego konarów. Ojciec pani generałowej padł na polu bitwy śmiercią bohatera; brat starszy umarł gdzieś daleko, jako męczennik; matkę zabrała z ziemi rozpacz i cierpienie; a ona, sierota, wychowana w obcym, prawie kosmopolitycznym domu na kresach, wydaną została bardzo młodo za znacznie od siebie starszego człowieka, który pokochał ją szczerze całą siłą ostatniej namiętności, rozbudzoną przez kontrast usposobień i charakterów. W tej miłości i w pożyciu wzorowem z osobą niezmiernie szlachetną i dobrą, cynizm hrabięgo, jakkolwiek nie starł się zupełnie, stępił jednakże swoje ostrze; ona zaś, chociaż cnotliwa i zaena, jak jej przodkowie i rodzice, przejęła od męża dumę i cześć dla jego nazwiska, cześć podobną do pogańskiego bałwochwalstwa, tem dziwniejszą, że szła ona w parze z pozorami religijności. Mówimy: pozorami, w domu bowiem, w którym wzrosła, praktyki religijne nosiły na sobie czczy, światowy, obcy charakter, niemający nic wspólnego ani z głęboką wiarą naszego ludu, ani z istotnie chrześcijańskim, gorącym wyznaniem naszych praocjów. Intelligentna i wykształcona—wśród wspaniałych pamiątek wielkości rodzinnej, której zamek w Bereźnicy przemawiał do jej wyobraźni—tak się przejęła tą wielkością, że poniekąd dla niej tylko żyła, starając się zle tłumaczyć i usprawiedliwiać, a dobre podnosić do wyżyn, z jakimi żadna, choćby najczystsza, tradycja równać się nie mogła.

Pani Eleonora, utraciwszy nadzieję posiadania potomka płci męskiej, a kochając przytem Klarę całą pełnią macierzyńskiego przywiązania, zwróciła uwagę na stryjecznego brata swego męża, którego dobra sława mogła podnieść moralne znaczenie rodziny. Zapragnęła zbliżyć do siebie zwaśnionych, a kto wie, może w przyszłości—połączyć córkę z jego synem, aby chwała i bogactwa familijne, tym związkiem uszlachetnione i zlane w jedną całość, zajaśniały znowu dawnym splendorem, jak niegdyś. Ale przy urze-

czywistnieniu swoich zamiarów natrafiła—tak z jednej, jak z drugiej strony—na trudności prawie nie do przewyciężenia. Hrabia August nie chciał słyszeć o kuzynie. Zwał go zwykle „czerywonym“ albo „nafciarzem;“ kuzyn zaś ani myślał podać ręki do zgody. Piętnował generała w duchu najhaniebniejszą nazwą, której tylko przez cześć dla nazwiska nie wymawiał głośno.

O! bo i hrabia Stanisław był dumny! Gotów poświęcić siebie i majątek na ołtarzu honoru i obowiązkowi, nie pojmował—we względzie czci dla swego rodu—żadnego pierwszeństwa, żadnych ustępstw, żadnego współzawodnictwa. Jeden i drugi, chociaż stali na dwóch przeciwnych krańcach pojęć o godności osobistej i narodowej—ten zamknięty w cynizmie samolubnym, zdolnym do wszelkiego poniżenia wobec siły, tamten legitymista, wierzący w prawa nieprzedawnione, szukający w poświęceniu i ofierze rozgłosu i uznania—jednakże bili czołem przed bożyszczem pychy rodowej, obaj, reprezentanci zasad, niegodzących się z duchem czasów dzisiejszych, czasów stykających się, niestety, z przeszłością nie dodatnimi, lecz ujemnymi biegunami; bo wśród potężnych przełomów pojęć i wyobrażeń, gdy jedna epoka dogorywa, a druga ma się ledwie narodzić, tylko zły ze złem kojarzy się magnetycznie, jakąś mimowiedną siłą przyciągania; dobre zaś z dobrem trzeba konieczną pracą i nadludzkimi niemal usiłowaniami łączyć.

Dwaj nieprzyjaźni sobie bracia stryjeczni, każdy pod chorągwią odmiennej barwy, choć stali więc odosobnieni, każdy z nich wspólny obydwoim znak herbowy na drzewcu zawieszali i przed nim tylko w duchu się korzyli. Podobni byli do komendantów nadgranicznych forteczek, rozsypujących się w gruzy. Czujnie strzegli mchem porośniętych ruin (swych starych przekonań i starszych jeszcze przesądów) od zewnętrznego wroga, a nie przewidywali, że własne ich dzieci, podłożone mogą pod murówiska minę nowoczesnych, dobrych czy fałszywych, idei, a ta—pomimo ich czujności i mężstwa—obie twierdze wysadzi w powietrze.

* * *

Zamek Bereźnicki stał na pagórku usypanym prawdopodobnie przed laty rękami jeńców wojennych i kmieci przemienionych w chłopów. Na wschód, zachód i południe panował nad szerokimi, kolisto-zatoczonymi łąkami i rozległą płaszczyną. Od północnej strony łączył się mostem z bliższym mu, drugim, lecz już naturalnym, wzgórzem, porośniętym lasem dębowym i leszczyną. Most był niegdyś zwodzony, dziś kamienny, śmiała arkadą rzucony nad wijącym się w dole strumieniem, bystro toczącym swe wody ku wielkiej rzece, odległej o milę. Widać ją było z wież sterzących nad murami. Jedną tylko drogą można się było dostać do rycerskiego gniazda wielkiej rodziny. Szeroka i starannie utrzymana, chociaż spadziasta i w skalnym wyrobisku gruncis, wiodła przez dąbrowę ku mostowi, za którym—tuż zaraz—wyginała się brama wjazdowa łukiem obramowanym granitem, oprawym w półokrągłą ścianę starej, olbrzymiej baszty. Zasuwała ją na noc nowożytna krata żelazna. Pod sklepieniem basztowem—przedłużającym bramę w kształcie kurrytarza—wchodziło się na podwórzec trójkątny, po dwóch bokach opasany wałem udarniowanym, tulącym się do grubego muru z trzema strzelistymi wieżycami, w nierównych odstępach do niego przylegającymi, a opierającymi swe podnóża na zewnętrznej pochyłości pagórka. Trzeci bok trójkąta—zamykający go szczelnie—stanowił ogromny gmach, zbudowany z kamienia i cegły czerniałej, więc prawie cały ciemny, miejscami tylko jaskrawością świeżych restauracji plamiący szarością, w jaką lata, zawieje śnieżne i deszcze oblekają starodawne mury. Była to najwspanialsza rezydencja, o dziedziczona przez generała po pradziadach. Żaden z kilku pałaców i dworów, posiadanych przez niego w innych dobrach, nie mógł współzawodniczyć z zamkiem w Bereźnicy, tak, co do przepychu wewnętrznego urządzenia, jak i co nagromadzonych w nim skarbów pamiątkowych. Jako bu-

dowla, zadziwiał tylko rozmiarami, a nie pięknosciami linii i kształtów, sięgał bowiem swoim pierwotnym początkiem daty, ginącej w pomroce odległych stuleci. Należał do najstarożytniejszych zabytków w Polsce. Ten i ów władca przerabiał go częściowo, kładąc tu i owdzie na jego murach, w różnych czasach, różne pieczęcie stylów architektonicznych; rozszerzano go, powiększano, podnoszono, pokrywano odmiennie... ale wszystkie ślady zmian niknęły w olbrzymiej całości, groźnie i poważnie jednolitej.

Budynek opierał się na głęboko w ziemię wkopanych fundamentach z głazów. W nich kryły się rzadkiej piękności i wielkości piwnice, oświetlone zakratowanymi oknami i strzelnicami wyzierającymi na kobierzec łąk, rozslany u stóp wzgórz, oraz dalej na miasteczko i sioła, składające klucz bereźnicki. Z murowanych wyłotów owych strzelnic—sięgających aż poza darń pagórka—wychylały się długie spiżowe szyje dział i haubic, o zadach przyozdobionych herbami. Spoczywały na niskich, ruchomych, stopniowanych, z twardego drzewa wyciosanych lawetach, które wysuwać się dawały bez wielkiej trudności po dość gładkiej posadzce, ułożonej z nierównych ale oszlifowanych płyt kamiennych; przyczem małe, żelazne, zardzewiałe kółka skrzyślały przeraźliwie. Sal piwnicznych liczone przeszło dwadzieścia. Prawie wszystkie były widne, jasne, niemal wesole, prócz kilku od północy przeznaczonych na wino. Jedna z tych ostatnich—już w późniejszych czasach—służyła za karcery, do którego wsadzano krnąbrnych i nieuległych dworzaków; dawniej bowiem... dużo dawniej... przed laty, więzieniem był loch głęboki pod basztą, zwaną „Zośką,“ stojącą niegdyś w podwórzu od strony zachodniej. W ciągu jednego z obleżeń, jakie zamek wytrzymał za wojen kozackich, baszta, zdradą czy umiętnie prowadzonym podkopem podminowana, runęła... i odtąd jej nie odbudowano. Obecny właściciel kazał kupę gruzów zamienić na rodzaj belwederu z altaną, owitą bluszczem i powojami. Po nocach z pod murówiska pokrytego ziemią, porośniętego zieleńią, odzywać się miały jęki nieszczęśliwej Zośki, żony wojewody i pana zamku—jak niosło podanie—przed pięćmi wiekami żywcem zamurowanej w podziemi. Od niej-to baszta wzięła swe nazwanie.

Na piwnicach wznosiła się dopiero istotna widoma podstawa gmachu, w czworobok zbudowanego, niby klasztor, z klasztornym, półotwartym, arkadowym i sklepionym kurrytarzem, dźwigającym na swych przysadzistych łukach i pękających filarach szerokie mury piętr wyższych. Mieściły się tu teraz: stajnie, wozownie, kuchnie, piekarnie, kredens i mieszkania licznej służby, chociaż dla tej powznoszono—także w czasach późniejszych—kilka dworów za mostem, w lesie, stanowiącym zarazem park bereźnicki. Tu—również na dole—znajdowała się sień ogromna, do której wchodziło się przepysznymi podwojami o spiżowym, misternym okuciu. Porton tworzyła framuga, wypełniona pięknie, płaskimi kolumnami porfirowymi, z kapitelami i ozdobami architektonicznymi z różnokolorowych (przeważnie ciemnych, centkowanych) marmurów i bronzu złoczonego;—wszystko w barokowym, niezbyt przekwitłym stylu. Tu już znać było wprawne i poczuciem piękna kierowane dłuto włoskich robotników. Za drzwiami piętrzyły się w górę monumentalne stopnie marmurowe. Ściany klatki schodowej okrywały gobeliny i makaty wielkiej wartości. Apartamenta, do których wiodły, składały się z dużych komnat. W niektórych całe namioty tureckie, u sufitów wierzchołkami zwieszane, a nad samą posadzką—wyslaną wschodnimi kobiercami—do ścian przybite, upięte i wyginające się powiewnie, tworzyły cudną dekorację. Zbrojowni—mogło niejedno muzeum państwowe, niejedyn arsenał, bogactw pozazdrościć a galerye portretów familijnych, między którymi—począwszy od XVII wieku—znajdowało się wiele konterfektów pędzla pierwszych mistrzów włoskich, flamandzkich, niemieckich i francuzkich, współzawodniczyć byłyby w stanie z najcenniejszymi monarszemi zbiorami tego rodzaju, w pałacach królewskich, pierwszych stolic Europy.

Wielka, wspaniała sala balowa znajdowała się

w pośrodku gmachu, znacznie wyższa od komnat, bo wznosiła się niemal przez całe dwa piętra. Oświetlały ją też dwa rzędy okien, zwróconych ku południowi. Boczne salony umeblowane były, każdy w innym stylu; przyozdobione zaś darami królów i książąt, swoich i obcych. Kaplica—jak kościół prawie obszerna — zdawała się wydartą z jakiejś świątyni papieżkiego Rzymu i przemienioną tu w całość swej włoskiej, renesansowej okazałości, z mozaikami, płaskorzeźbami, ornamentacjami—słowem: z bogactwem najprzeróżniejszych artystycznych szczegółów. I ona przecinała dwa piętra, dosięgające dachu, nad który wbiegała kopułą miedzianą, złotą, i krzyżem, równie złotym, błyszczącym w promieniach słonecznych, a widocznym z daleka. Apartamenty, w których mieszkali hrabia i hrabina — w tym ogromie bowiem trzeba było koniecznie wydzielić dla siebie jakiś lokal odrębny—nosiły cechę nowożytnego zbytku, połączonego z najwyszukaniem komfortem. Tu pan August dogadzał przedewszystkiem swemu usposobieniu sybaryty; tu każdy sprzęt czynił zadość jego osobistym przyzwyczajeniom i potrzebom; tu mu było dobrze, miękko, cicho, miło... ciepło w zimie, chłodno w lecie; tu tylko czuł się zupełnie u siebie, chociaż żona—którą kochał istotnie—wolała tamte pokoje, przemawiające wspomnieniami przeszłości do jej wyobraźni. Bliska biblioteka urządzonej była także wygodnie. Najobficiej zaś reprezentowaną w niej była literatura lekka, tak zwana piękna, z całym swym modnym naturalizmem i excentrycznością; po belletrystyce przeważała: filozofia, historia, oraz broszury polityczne i księgi poświęcone strategii i taktyce wojennej. Nie brakło i rękopism ciekawych, bo przodkowie hrabiego otaczali się ludźmi uczonymi, a i sami nie gardzili piórem. W szeregu ich liczono kilku wybitnych statystów, (którzy pisali o naprawie rzeczypospolitej) i jednego poetę. Na stole—ustawionym w pośrodku szaf, zakrywających ściany i wypełnionych foliarami i wolaminami od posadzki do sufitu—leżały dzienniki, przeglądy i najświeższe utwory bieżącej doby, pomieszane z białymi krukami, wielkiej ceny.

W zamku wszyscy czytać lubili. Pani Eleonora sprowadzała najnowsze publikacje i prenumerowała mnóstwo wydawnictw peryodycznych krajowych, oraz kilka zagranicznych. W okolicy szepotało sobie na ucho, że pisuje nawet do dwóch tygodników polskich i do jednej *revue* francuskiej, bezimiennie i pod pseudonymem. General zaś—ile razy gościł w Bereźnicy, pół dnia przepędzał w bibliotece. Z wprawą niemal dziennikarza przejrzawszy szybko gazety, zabierał się do książek i w parę godzin pochłaniał tom francuskiego romansu lub polemicznej jakiej broszury. Pomimo wieku i osłabionego wzroku czytał niezmiernie prędko, bez wyboru, co mu tylko w ręce wpadło. Dzieło przeczytane oceniał zwykle z bystrością intelligentną, niekiedy słusznie, zawsze bardzo dowcipnie, chociaż nader złośliwie. Po błażliwości nie znał wcale, jakkolwiek dla autorów z talentem czuł pewien rodzaj szczerzego uznania i dziedzicznego szacunku, z którymi jednak zdradzać się nie lubił. Z pokuszeń literackich żony żartował. Kiedy był w złym humorze, nie oszczędzał ani pisarzy, należących do konserwatywnego obozu, ani postępców, ani Polaków, ani obcych. Szczególniej lubiał wyszydzać pedantyzm Niemców, ich patriotyczne zacietrzewianie się czy zaślepienie, bo cały świat piśmienniczy, a przedewszystkiem rodzinny i najbliższy sąsiedzki—widziany przez pryzmat własnych, cynicznych poglądów, wydawał mu się pełny hipokryzji, śmiesznym, małym i nikczemnym. Do przekonania trafiał mu tylko pesymizm, chociaż go nieraz, obwiniał o zbyt socjalno-rewolucyjny charakter. Pesymizm brał za odwagę myśli, niekrępowanej stronniczymi względami, a pomimo, że i z niego nieraz szydził,—bo w rozdrażnieniu moralnym, jakiemu często ulegał, musiał wszystko wyśmiewać — w atmosferze jednak wytworzonej przez ten kierunek czuł się swobodniejszym, mniej występny i poniekąd usprawiedliwionym, przynajmniej w oczach własnych.

Spiesząc na wyższe piętra głównego gmachu

zamkowego, aby przyjrzeć się jego przepychowi wewnętrznemu, zapomnieliśmy, zajęci pięknnością portonu i drzwi wchodowych, które wprowadziły nas na schody, zatrzymać się przy jednym z narożników czworobocznego kurrytarza, obiegającego cały parter. Od wschodu, pod płaskim, chociaż wysoko wzniesionym łukiem arkady, wchodziło się tu do obszernej izby bez podłogi. Z ziemi, twardo, jak klepisko ubitej, wynurzała się studnia, ocembrowana dębowymi balami, głęboka, czarna, jak paszcza jakiejś przepaści bezdennej. Nad nią zwieszały się łańcuchy, obwijające walec, obracany zapomocą koła—i zakończone dużym, żelaznym obręczami obitem wiadrem. Kiedy je w dół spuszczano, kilka minut czekać trzeba było aż pluśnie głuchó; potem także kilka minut windowano je w górę z ciemnej szyi. Woda wydobyta w ten sposób, była czysta i chłodna; wydawała się zaś w picie dziwnie smaczną i orzeźwiająca.

Powiedzieliśmy już wyżej, że Zamek Bereźnicki w swej olbrzymiej całości przedstawiał się poważnie i groźnie. Istotnie, pomimo zmian, przebudowań i częściowej ruiny budził w umyśle widokiem swoim jasne wyobrażenia, jakimi być miały niegdyś owe stare, słynne forteczki kresowe, których tyle z ziemią zrównali Turcy, Tatarzy i Kozacy. On oparł się wojennemu zniszczeniu; na zewnątrz urągał dotąd wpływom czasu; w wewnętrznym swym urządzeniu tylko w nader szczupłym zakresie pozwoił nowoczesności wziąć górę nad przeszłością—słowem: stał dumny, silny, wspaniały, strażnik chwały i wielkości znakomitej rodziny, reprezentowanej, w jego murach, przez starca, więdnijącą przedwcześnie kobietę i dziecko wątłe, anemiczne, słabowite. Tu bowiem, w tej twierdzy, jeszcze potężnej, chociaż bez garnizonu (bo może nawet duchy przodków z niej odleciały smutnie!), gdzie ostatni rycerz do obcych należał szeregow—urodziła się Klarcia. Chuchano na nią, okrywając puchem łabędzim, owijając flanelą i watą. Czuwano przy niej dniem i nocą; otaczano ją staraniami pełnymi miłości. Nadworkiemu lekarzowi, mieszkającemu w zamku, nie wolno było oddalić się nawet na dzień jeden.

(Daszy ciąg nastąpi).

DWAJ POECI.

(Dalszy ciąg ob. N. 12).

Nie mogły jej wyziębic i nauk chłody,

... bo i mędrzy nocą
Płaczą nieraz nad własną niemocą.

... w cichej ustroni
I światowiec nad światem łyzy roni.

Mąż nosi kark hardo, ale

... niewiasta najbardziej wychłódła
Musi w oczach dwa żywe mieć źródła.

„Ucieczką są łyzy dla ducha.” Płaczą matki
w krwią zalanej Rumie. Nad Eufratem płacz

... podobny szczękowi orężów
Jest pobudką dla braci i mężów.

Łzy niewieście, płyncie bujną falą,
I ład czyńcie w życiowym zamęcie!
Niech się wszystkie boleści skryształą
W promienistym cichej łyzy dyamencie,
I niech będzie ten dyament, nad złotem,
Najcenniejszym ludzkości klejnotem!

Tylko nie wymagajmy łez od *Warszawianki*, za którą posypały się ongi na Gomulickiego trociny

oburzenia interessowanych. Obrazek ten uznano za karykaturę; rzeczywiście jest on sprawiedliwą satyrą na cześć, znamionującą piękne córy Ewy a pupilki Syreny.

Promień słońca, zapach róży,
Szampańskiego wina pianka,
Dużo ciszy... trochę burzy—
Cóż to za cud? Warszawianka!
Czy dla biednych miłosierna?
O tak? Zawsze w karnawale,
Nawyknieniem serca wierna,
Dobroczyńne zwiedza bale.
Czy jest matką? dzieciom może
Skąpi troski nadzwyczajnej?
Lecz od czegóż, mocny Boże,
Są mamsele i fraiłamy!

Urok kobiecości plastycznie ujął poeta w zapytanie: *Czemu?*

Czemu Bóg ci dał
Uśmiech tak uroczy,—
Tak anielską twarz,
Tak szatańskie oczy?
Czemu Bóg ci dał—
Powiedz, moja luba,—
Tygryscy krew,
A ciało cheruba?

Czemu? Żeby po niedługich może, a utajonych dla nas chwilach poeta mógł tęsamą tygrysięc odmalować słowami:

I już nie było w błękitnym przezroczu
Topniejącego sylfa czy anioła,
Ani kapłanki, której bije z czoła
Zimny majestat grobu i świątyni,
Ani rusalki, co z sercami czyni
Psoty, igrając w srebrnej mgłę miesiąca;
Ale kobieta była kochająca
Wszystkich sił treścią, wszystkich snów tę-
[sknotą,

I całym sercem i całą istotą,
I wśród tej burzy, ubranej w promienie,
Dana miłości na całopalenie.

Co się z nią stało?

W jesienne rano, szare suchotnicze,
Umarła.

Ja—to może błagał poeta i zaklinał:

Mnie potrzeba twych skrzydeł szelestu cichego,
I twej pieśni, co ptakiem ku gwiazdom pomyka;
Gdy odbiegiesz, sny rajskie ode mnie odbiegą,
Gdy zamilkiesz, zamilknie mej duszy muzyka.

Jam przywykł na świat patrzeć oczyma twojemi...
Gdy odejdiesz, któż będzie mówił mi o niebie?
Gdy odejdiesz, kto będzie mówił mi o ziemi?
Zostań! ja żyję tylko w tobie i dla ciebie!
Tyś jest krwią mego serca, światłem moich oczu,
Bez ciebie świat się cały powleka żałobą,
Bez ciebie gwiazdy gasną w błękitnym przezroczu...
O, nie odchodź ode mnie, lub weź mnie ze sobą!

Wielu z nas umiało tak czuć w młodości, ale niewielu umiało tak szczerze życie połączyć siostrzanym węzłem z pięknnością sztuki. Dziś pewnoby już poeta nie powtórzył, że żyje tylko w ukochanej i dla niej: żyje się w świecie i dla świata.

Inna znowu miała, dość nie wybrednie,

...uśmiech dziecięcia, spojrzenie Madonny,
W licach blaski, nad czołem włosów jasne zwoje...

Do *Anielskiej* poeta tak przemawia:

Przeszłaś—i, jak za słońcem heliotrop wonny,
Tak za tobą się oczy obróciły moje.

I dalej, tonem Hugona:

Przebacz mi! Wszakże Stwórca nie zabronił gę-
[biom.
Kochać szczytów; wszak ludziom, choć grzechem
[skalani,
Sam się oddał; wszak białym przykazał gołębiom,
Żeby różdkę oliwną niosły do otchłani...

Potem już jej grozi:

Próżno, upadłszy na pierś Chrystusową,
Całujesz ręce i stopy z kamienia:
Próżno, gdy płyną kadzidla i hymny,
Chcesz z niemi sercem ulecieć wysoko;
Próżno, na chmurach wieszczów błędne oko
Próżno, płonąca, kamień ściskasz zimny...

Choćbys Tytanów miała myśli dumne,
I tę moc, która śmiertelnego trwoży,
Bezsilna padniesz, kiedy wyrok boży
Każe ci wybrać: miłość albo trumnę.

Niewiele wybiera dziś trumny. Zwrotka zakoń-
czająca wiersz *Musisz kochać*, jest nieszczerą.
Na *Dzień Dobry* ma ukochana piosnkę:

Na dzień dobry, mój aniele,
Ja ci duszę niosę własną;
Od poranku światła jasną,
Uciszoną, jak w kościele.

Nie jedna tylko,—sercem, ale wszystkie—ro-
zumem ukochać powinny Gomulickiego za radę:

Gdy kochasz.

Kiedyś z milionów jednego wybrała
Na władzcę duszy i na władzcę ciała,
Niech on już jednym pozostanie tobie,—
W życiu i w grobie.

Najczulsze słowa, najmiłsze uśmiechy,
I wszystkie blaski i wszystkie pociechy,
I wszystką słodycz ducha niewieściego—
Ponies dla niego.

Choć reszta świata, pod wyklęcia groźbą
Ciągnąć cię będzie i siłą i prośbą,
Ty zawsze przeważ szale pochylone—
Na jego stronę.

Ile masz w sercu anielskiej światłości,
Przez którą bogom równi ludzie proszą,
Zestrzel ją całą w miłosnym uścisku,—
Jako w ognisku.

Ani się wahaj, chyląc szczęścia czarę.
Duszę miłemu oddać na ofiarę;
Bo zatraciwszy się, wskrzesz z niczego—
W nim i przez niego.

I nawet wówczas miej świętość aniola,
Gdy on twych darów odpłacić nie zdoła:
*Kto kocha, bardziej jest z bóstwem zbratany,
Niż kto kochany.*

Nietylko światłości miłości egotycznej i zaw-
sze przytem egoistycznej — ale i większe i

szlachetniejsze wzruszenia trącają o struny har-
fy Gomulickiego. Poznaliśmy już jego współczu-
cie dla cierpiących i upośledzonych. Jest ono
prawdziwe, ale nie zre duszy do głębi. Na-
technie poetyckie rozplywa się tam najczęściej
w głos rozumu i sprawiedliwości. Jeśli nas wra-
żenia wyniesione z czytania nie zawiodą, to naj-
silniejszym jest współczucie dla Żydów; *El mole*
Rachmim pozostanie nadługo perłą najwyższej i
najprostszej zarazem cnoty ludzkiej—miłosierdzia.
Żalność nieokreślona, niezamknięta w granicach
jednego przedmiotu, żalność będąca trwałym stan-
nem duszy i trwałym źródłem natchnień, przeja-
wia się u Gomulickiego w innej sferze.

Z wrażeń niedoli gnębiącej świat wytwarza się
w każdym wyższym umyśle ból nad światem. Nie
mając właściwego wyrazu na określenie tego
uczucia—schroniliśmy się przed trywialnym *Welt-*
schmerzem, pod banalny *pessimizm*, który miesza
egoizm osobistych niepowodzeń i nieszczęście z mi-
łością czystą ludzi i rzeczy ludzkich—w ideal-
nym porządku widzianych. Idealny ten porzą-
dek to właśnie główny zbrodniarz świata, sprawca
wielkich myśli i czynów i wielkich również cier-
pień. Pojmujemy go, jako usystematyzowaną ca-
łość tych wyobrażeń i pragnień, za które duchowi
ziemi płacić potrzeba krwią i łzami—i życiem.
Bez takiego idealizmu niepodobna sobie wyobra-
zić żadnego wyższego umysłu, który się nie wy-
gnał dobrowolnie z krainy żywych i nie przy-
lgnał do pyłu i litery. Bez takiego idealizmu
poeta istnieć nie może, jeśli ma po sobie zostawić
coś więcej prócz lekkiej piosenki lub płytkiej
charakterystyki. Jest to jakby zwierciadło zwró-
cone ku górze i odbijające w sobie niebiańskie
widzenia. Gdy je rzeczywistość zmoczy i okopci,
dusza gniewa się i cierpi. Nie było jeszcze poe-
zyi bez zgrzytu i jęku. Nie choroba, ale właśnie
zdrowie duszy objawia się w tych zgrzytach i ję-
kach. Więcej optymistów, niż pessimistów we
właściwym znaczeniu było na świecie niedołęga-
mi. Głupi tylko i samolub żyje w wiekuistym
zadowoleniu, a umiera z uśmiechem radości. Na
tym świecie i życie jest straszne dla myślących
i śmierć daje zadowolenie tylko prostaczkom.

To rozbijanie się duszy marzącej o rzeczywi-
stość, która ją ciągle odczarowuje, dostrzegamy
u Gomulickiego głównie w dziele *Słońce za chmu-
rą*—tytuł dobrany do treści. Zajrzyjmy do niej.
Więc najpierw w *Życiu*:

Człowiek przychodzi nagi nagi i bezbronny...
Ziarno staje się kłosem, a chłopię—młodzieńcem;
Lecz cóż to jest młodzieńiec? Rozhukana fala,
Chce panować, a sam jest namiętności jeńcem,
Chce gwiazd dostać, a skrzydła przy świecy opala.

Dopiero doświadczenie, jak dłoń arcymistrza,
Doskonali człowieka długim cierpieniem ciągiem;
Sąd jego coraz zdrowszy, dusza coraz czystsza,
I harmonijnym wreszcie staje się posągiem;

Jak orzeł, widzi kresy i ziemi i nieba,
Myśl ma jasną, cierpieniem czoło stawia dumne;
Zbadał zagadkę bytu, i wie jak żyć trzeba...
Szkoda tylko, że wówczas kłaść się musi w trumnę.

A potem znowu świat jest dla poety „olbrzy-
mią trupiarnią.“

Gdzie Czas, jak szakał, z zakrwawionym pyskiem,
Z ludzkiego ciała wyprawia bankiety.

Ciemność za nami i ciemność przed nami...
Chwila obecna, panująca światom,
Gdy się na przeszłość i przyszłość rozłamie
Zmienia się w atom!

Ale ten atom, dopóki trwa, ma dla nas ogrom
i wagę wieczności. Poeta kończy swe *Rozmyślenia*
o *pótnocnej godzinie* abdykacją:

Pocóż się miotać i dręczyć,
Nieszczęścia szukać w głębinie:

Lepiej oddawszy się fali,
Płynąć—gdzie wszystko płynie!

Przypomina się tu mimowoli Wiktora Hugo:

Je vais ou va toute chose...

w nicość!

Straszną jest pamięć! Gdyby zapomnieć można,
gdyby zapomnieć! O, iluz z nas, w chwilach kie-
dy, nie piekło, ale niebo samo waliło się na nich,
wołało: „Zapomnienia! zapomnienia!”

Ale największa siła nie zatrzyma
Kół tej maszyny co huczy pod czaszką.
Kół mleć muszą ciągle, aż do śmierci,
Treść wziętą z życia, z przyrody, z papieru...
Jeśli im kiedy nie dostarczysz żeru,
Własną ci duszę poszarpią na ćwierci.

I w tem jest głęboka prawda: nie mając stra-
wy ze świata, musimy brać strawę z samych sie-
bie. Po tem rozmyśleniu, że *Mysleć, to cierpieć* idą
piękne strofy, nazwane *Piotunami*:

Nie mówcie mi, że to jest Boża wola...
Nie mówcie mi, że się ukorzyć mam.
W mem sercu rodzi bunt każda wielka niedola,
Kołatać o nią śmiał-bym, do samych nieba bram...
Nie mówcie mi, że życie marnym kształtem
Który przerabia śmierć na gwiazdę i na mgłę,
Ja złe nazywam złem, ja śmierć nazywam gwał-
[tem—
I tytanowy protest Bogu ślę!

Forma jambu nie jest tu jeszcze doskonałą, ale
przy jędrnie wyrażonej myśli silnie sprawia wra-
żenie.

Ztajemnic śmierci opowiada to samo, co z niewy-
słowioną rzewnością i z filozoficznie podniosłym
nastroju wyraził Asnyk w wierszu *Zmarłej dzie-
wicy*. Oczywiście, najpierwшему dziś lirykowi
polskiemu niedorasta Gomulicki. Ale się popra-
wia zaraz w wierszu *Dusze to harfy*. Są różne
harfy: jedne krzepkie, inne ulegające powiewom
losu;

A są i takie, co pod nieszczęść ciosem
Najczarowniejszym przemawiają głosem.

Lecz są też harfy rozbite, niestrojne,
Co zawsze dzikim szarpią duszę zgrzytem...

I są od harf nieszczęśliwsze jeszcze,
Które żadne nie wstrząsną już dreszcze,
I które milczą—bo nieszczęść pioruny
Wszystkie już na nich zdruzgotały struny!

Prześliczny jest wierszyk *Po dniu czarnym*.
Poeta zapytuje: czy mu się jeszcze niebo rozchmu-
rzy; czy odnajdzie zagubioną nadzieję?

Gdybym ja był marnem zieleciem
Na łące,

Tobym czekał bez obawy
Na słońce...

Gdybym ja był zimną bryłą
Kamienia,

Tobym czekał na swą przyszłość
Bez drżenia...

Lecz ze jestem królem stworzeń,
Człowiekiem;

Nic nie widzę na tle nieba
Dalekiem,

Nic nie słyszę w rannych wiatrów
Powiewie,

I o jutrze duch mój smutny
Nic nie wie...

Gorączka życia osnuwa się na temacie, że dziś:

O rozkosz łatwo, — Szczęścia zato niema!

Powiedzieliśmy już na wstępie, że lutnia Gomułckiego nie wydaje dźwięków sięgających poza życie rodzajowe, choćby na najwyższy ton nastrojone. Musimy mu więc wybaczyć, gdy nam śpiewa we *Fragmencie*:

... Chwila nadejdzie, w której zgasną we mnie
Wspomnienia ziemskich uciech, szatów i uniesień,
.... Z przeszłości chaosu
Przyjdą wówczas dwa echa, dwa białe cheruby,
Budzić mnie: pacierz matki i piosenka lubej.

W zakończeniu tego działu poeta pociesza się, że cierpień żary

Nie spalą tego co wśród zgłiszczy
Niepokalanie wciąż błyszczą:
Złota geniuszu i złota wiary!

(Dokończenie nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 25 Marca 1887 r.

Śmierć Kraszewskiego. — Wspomnienie osobiste. Debita Lacryma. — Śmierć w Paryżu. Paweł Féval. — Jego zwrot do religijności. — Uspokoienie. — Rysownik Gaillard w klasztorze franciszkańskim. — Wielkie przykłady. — Okrutne zamordowanie trzech kobiet przy ulicy Montaigne. — Poszukiwania policyjne. — Wystawa akwarelistów doroczna. — Pani Magdalen Lemaire i Détaille. — Nowa książka: „Histoire d'une Grande Dame au XVIII Sciel”, przez Perey'a.

Ani myślałem, że mi przyjdzie rozpocząć tę kronikę od tak smutnej wieści. Ciężką i nad wszelki wyraz bolesną poniosłem stratę osobiście, ale też nie mniejszą poniósł cały naród nasz. D. 19 Marca, w sam dzień Świętego Józefa, patrona swojego, w Genewie, na obcej ziemi, sam jeden wśród obcych ludzi, „sył lat i chwały“ — jak śpiewał Niemcewicz o Mieczysławie, ale sył też i nieszczęść, sył ciężkich i długich cierpień, spoczął nakoniec w Bogu — Kraszewski.

Najpierw odebraliśmy tu w Paryżu kilka słów, od nieznanego człowieka, może właściciela hotelu „de la Paix”, gdzie wiemy, że zamieszkał: „Pan Kraszewski, ciężko chory, i nie w stanie jasno wyrazić swych myśli.” I oto wszystko, a w ślad zatem telegram: „Kraszewski umarł.”

Chociaż byliśmy przygotowani na tak straszny cios, bo cudem tylko nerwy podtrzymywały wycieńczone więzieniem siły; przecież wiadomość ta krótka i straszliwa swoją zwięzłością dotknęła nas boleśnie. Przyszły następnie szczegóły. Nieznajomy, o którym wspominałem, jest to pan Oskar Schneider; udzielił on nam bardzo szacownych wiadomości o ostatnich chwilach wielkiego pisarza, niestety! smutnych nad wyraz.

Kraszewski przyjechał do Genewy w okropnym stanie i prawie nieprzytomny, tak go zmęczyła podróż. To się łatwo rozumie, ale dlaczego i pociągnął się w tę drogę? Czekam na list doktora Tymowskiego z San-Remo, który mi to zapewne objaśni. Słowem przyjechał 15-go Marca w stanie groźnym. Dzięki staraniom doktora Laskowskiego, stan ten polepszył się cokolwiek nazajutrz. Ale nadziei nie było żadnej, wycieńczenie sił było ostateczne. I w Piątek rano wpadł w pewien rodzaj letargicznego uśpienia z którego budził się w bardzo krótkich chwilach, aby kilka słów powiedzieć, do tych, którzy go otaczali, ale których już prawie nie widział... i wołał ciągle: „siły! siły” aż do upojenia. Nakoniec 19-go trochę przed 11-ą godziną zrana,

zawołał poniemiecku: *Helft, Helft*, kiedy już żadna moc ludzka pomocy dać mu nie mogła. O godzinie 11-jej wpadł znowu w stan uśpienia a o 3-jej i minut 38 spostrzeżono, że już nie żyje. Przejście od życia do śmierci było nieznaczne.

Według diagnozy profesora Laskowskiego, choroba Kraszewskiego była sercową, to jest, że uszka sercowe straciły swoje sprężyste działanie, i że krew krążyła bez żadnego naturalnego regulatora, z czem połączyło się jeszcze chroniczne zapalenie błon piersiowych.

Z przedostatniego listu z d. 2 Marca, który Kraszewski pisał do mnie, jeszcze z San-Remo, można było przewidzieć, że opuści te miejsca, gdzie nie znajdował odpowiednich warunków dla życia, a może gdzieś mu głęboki niepokój tego przeczucia, że już wchodzi do wieczności, nie dawał usiedzieć spokojnie! Przecież z przerażeniem prawie dowiedziałem się, że nagle przedsięwziął podróż do Szwajcaryi, projektowaną od dawna, ale tak nie w porę zaczęta, w chwili właśnie, kiedy marcowe burzliwe, zmiany atmosferyczne, tak się wyroszyły w tamtych stronach!

Jestem przekonany, że nie na szpaltach dzienników, pomieścić się może, choćby najtreściwsze nawet sprawozdanie z zawodu literackiego tego nadzwyczajnego człowieka. Zostawił on, jak o tem wie świat cały, nie kilka książek, ale księgozbiór dzieł swoich, nie licząc nawet tego, co tak hojną, a zawsze otwartą ręką, rozrzucił we wszystkich czasopiśmiech polskich i w olbrzymiej codziennej korespondencji swojej.

Nie śmiałym więc dziś w pobieżny sposób dotykać się jego życia, olbrzymich jego prac; ale mam nadzieję, że nie odmówicie przyjęcia tym kilku kartkom żalu, jaki przejmuję człowieka, który był jednym z najwierniejszych i najstarszych jego przyjaciół. Jest to *debita lacryma*, którą składam na świeżej mogile.

Umarł powiedzieć możemy bez żadnej przenośni, duchowy karmiciel całej Polski! Od lat pięćdziesięciu przeszło, stał on na przednim posterunku oświaty ojczyznej. Geniusz jego wszechstronny, czuły i wrażliwy niesłychanie, przenikał wszystko, drżał na każde najlżejsze wzruszenie w sferze umysłowej — przenikał wszystko, jakby ów subtelny prąd elektryczny. I w swoich utworach z dnia na dzień odbijał odebrane wrażenia ze wszechświata ludzkiego. Dzieła jego to do pewnego stopnia żyjąca historia literatury, nie tylko polskiej, ale powszechnej. Od lat pięćdziesięciu nie było formy, zjawiska, nie było rzeczy, którejby on nie przyswoił do siebie w części i którejby nie nadał natychmiast swojej, a raczej naszej, ojczyznej, formy.

Tak, zaiste, był to karmiciel Polski. Pokolenia całe rosły i kształciły się z jego dziełami w rękę. Jakby wielki, cudowny excytator, budził on u nas wszystkich i wszystko z uśpienia. Przyszedł w czas, jakby z woli Boga. Przypomnieć sobie należy, czem było piśmiennictwo polskie, po wypadkach 1831 roku: milczenie panowało straszne. Wówczas-to na granicach Litwy i Wołynia powstał ten niesłychany szermierz, wystąpił do działania i pomimo wszystkie zawody, przeszkody, walki i cierpienia, pozostał mu wiernym — *usque ad finem!*

Tak zaprawdę — *usque ad finem!* Umarł z mieczem, to jest ze swem piórem, w rękę. A gdy go nie wytrąciły mu z potężnej dłoni i wygnanie, prześladowanie, więzienie magdeburskie, odjęła śmierć dopiero. Dla zburzenia jego cudownej organizacji potrzeba było, aby matka ziemia ruszyła się ze swych posad. Ciężką chorobą zniszczona powłoka, ustąpiła nareszcie pod gwałtownym wzruszeniem trzęsienia ziemi, które go zaskoczyło w San-Remo!

Dziś stoi on wobec tego, który go tu posłał, aby oświecał i budził do życia. Teraz dopiero, kiedy to dzielne pióro wypadło ze skrzepłej ręki, kiedy zamilkł ten głos, wołający bez przerwy: *Czuwajcie!* teraz dopiero poznają wszyscy, i ci, którzy go kochali, i inni — teraz dopiero poznają i ujrzą jaką — to stratę poniosła literatura polska i jaką różnicę zostawi po sobie, jego odejście we wszystkich kierunkach oświaty.

Mogęz lepiej i inaczej skończyć te słowa nieutulonego żalu, jak dając wam wierny odpis ostatniego listu, drżącą, niepewną już pisanego ręką. List ten jest to jakby ostatni okrzyk wielkiej niezmiernej boleści — boleści ducha. Napełnił mnie on prawdziwą i niewypowiedzianą trwogą. Pierwszy raz bowiem w tym liście znalazłem to, czego nigdy nie dostrzegłem, nawet kiedy był za kratami magdeburskiej fortecy. Było to straszne *zawątpienie*. Oto są słowa tego listu z dnia 2 Marca:

„Co do mnie, pretensyi do niczego nie mam. Co za nauka znajomości serca ludzkiego! Ileż to złudzeń przez 75 lat nosiłem, aby je teraz stracić dopiero! A jednak, wierz mi, ani ku ludziom niewiści, ani chęci pomsty, ani gniewu nie mam, z litościwą tylko pogardą, patrzę na te lalki, w których gębach są nieustannie wyuczony frazesa, a w czynach bydlęcy egoizm bezwstydnym!; Pokój! pokój Tobie, biedny, wielki mężu, pokój Tobie, po tylu cierpieniach, a dla nas żal nieutulony.

W chwili, kiedy Polska traciła jednego ze swych najdzielniejszych synów — a literatura powszechna jednego z najznakomitszych pisarzy, w Paryżu, 8 Marca, o godzinie 4-tej z rana — umarł Paweł Féval, w Domu Braciszków Świętego Jana Bożego, przy ulicy Oudinot'a tam właśnie, gdzie ostatnią swą operacją na kataraktę odbywał nasz nieodżałowany Bohdan Zaleski. Był to swojego czasu jeden ze znakomitszych i najplodniejszych pisarzy powieści francuzkich ostatni mówię tej świetnej plejady, która po roku 1830 taki blask rzuciła na literaturę francuzką, jakiego już nie znajdujemy ani za czasów cesarstwa, ani za rzeczypospolitej.

W 1882 roku, kiedy Féval raz pierwszy dotknięty został paralizem — zdałem wam obszerną sprawę o jego pismach, o wielkich stratach majątkowych, o jego, nie można powiedzieć: nawróceniu się — bo nigdy odstępcą nie był — ale o jego, manifestacyi wierności dla kościoła i praktyk religijnych.

Posunął Féval tę swoją *confessio fidei*, aż do poddania wszystkich dawniej ogłoszonych powieści ścisłej rewizyi i wykreślił z nich wszystko, co tylko mogło obrażać przyzwoitość, wywoływać porywy namiętne.

Mówiłem o tem wszystkim obszernie wówczas, dodając, że straciwszy dużą fortunę, na papierach tureckich — bo przeszło sześćkroć stotyści franków. — Niesłychaną pracą i energią tę stratę potrafił powetować prawie w zupełności, aby potem ponieść nową — na bankach przemysłowych.

Zostawia on dwóch synów i córkę, która jest mniszką. Majątek jego obecny można liczyć na 200,000 fr. włączając i dochody z dzieł teatralnych a szczególnie powieści.

Kraj tutejszy — Francya — jest, i będzie zawsze krajem największych sprzeczności i najdziwniejszych wypadków. W tym czasie, kiedy widzimy tylu ludzi, z największą ostentacją manifestujących się wobec religii, wobec wiary ojców — w tym samym czasie znajdujemy przykłady poświęcenia, dla tychczasowych zasad, posunięte do najwyższych granic. Oto historia zaparcia się i ofiarności dla bliźnich. — Widzieliście w poprzednim liście o nagrodach cnoty — jakie przykłady przytoczył nam prelegent akademicki S. Caro... a w moim treściwym liście jakże małą cząsteczkę pomieścić mogłem! Z każdą chwilą przybywają tu nowe a nauczające przykłady: — jak ludzie umieją postawić swe życie — wyżej od wszelkich pokus i upadków powszednich.

Weźmy samego Févala, umierającego w takiej pokorze, w klasztornej zaciszu — za życia, przetwarzającego całą swą przeszłość — aż do najsurowszej korekty dzieł swoich... Jakże daleko odbiegł ten powieściopisarz od starego Hugo'na który, dyskutując o tem, czy dzieło raz wydrukowane, może być uważane jeszcze za *za własność autora?* — w tej subtelnej kazuistyce przychylił się do negacyi *tej własności i tego prawa*, co odpowiadało tak dobrze, jego dumie i miłości własnej — i twierdził, że: *quod scripsit, scripsit* — i że sam nie miał prawa usunąć z późniejszej edycyi, np. pewnej obelgi, rzuconej komuś w książce

Napoléon le petit—choć rekonal się później, że zarzut był bezzasadnym.

A owa śmierć rytownika *Jailard'a*, o której również wspominałem wam przedtem liście, — śmierć ta, jednego z najwyższych rytowników naszego stulecia, nie tylko wrancy, ale w świecie całym, — który w ubogim meiszkańskim klasztorze, na twardej pościółmicha, w habitie mnicha, — zakonu, którego pvsze święcenie od dawna przyjął — w pokorze z szemrania, pomimo niezmiernych cierpień i etelnej choroby, oddał ducha swojego w ręce wórcy, korząc się pokornie, przed jego najswiąz wola... A, powiadam wam, że w swoim zadzie — jak to dowodzi jego wspaniały portret bieża Leona XIII, był to mistrz, na którego moźwieki czekają.

Zapewne, niewszystko tu j tak czyste i jasne. Dosyć jest czasem odwieć kartkę, aby wpaść w zdumienie i przestraszyć. W chwili własnie, kiedy to piszę, agenci tej policji i prokuratory, szukają jeszcze rojazania straszliwej zagadki morderstwa, popełnionego w jednym z domów przy ulicy *Montaigne*. Ulica ta przecina jedną z najbogatszych dziel Paryża, łącząc Pola Elizejskie z przedmieście Św. Honoryusza. Prawda, że morderstwo pełnione zostało mieszkaniu słynnej piękności paskiej, ale zbrodnia, której ofiarą padły dwimłode kobiety i jedenastoletnia dziewczynka — oodzi, że w krainie zbrodni najwyższa cywilicya, graniczy często bliżej, niżeli spodziewać smożna, z ostatnim stopniem zdziczenia. Cel zbrodniarzy było ostatecznie ukradzenie kosztowności na jana jakie 10 lub 15 tysięcy franków.

Jak wiecie zapewne z telegramy — człowieka obwinionego o zbrodnię zatrzymaw w Marsylii. Jestto niejaki *Prancini* — nazwiskłosyć eufoniczne, ale chociaż znaleziono przpodejrzany pewne kosztowności zpomiędzy skradzionych na ulicy *Montaigne* — pozostaje jedna wątpliwość: czy rzeczywiście przytomny, jest cym zabójca? Pierwsze poszlaki, na które wpadła sicya, w domu popełnionej zbrodni, wskazywa: niejakię Geislera, a nie owego *Pranciniego*, chwytanego w Marsylii. Jakkolwiek bądź, po tu popełnionych zbrodniach w Paryżu, od pełnego czasu, a których sprawcy potrafili uniknąć dotąd ręki sprawiedliwości, zdolność i biegłość tutejszej policji, zaczyna być takasamą tajemnicą, jak nazwiska jej działaczy i nie daje żadnej rękomi bezpieczeństwa, mieszkającym powieszonym jej pieczy. Co się stanie z tą sprawą? — niewiadomo, bo policja tutejsza, zawsze jeszcze poszukuje owego tajemniczego Geislera, który zene swe nazwisko zostawił wypisane na zgrabnym riankiecie, a owego *Pranciniego* uważa tylko jako współnika tamtego, jeżeli nie w popełnieniu samej zbrodni, to w podziale skradzionych rzeczy. Już to rozdwojenie jest złą rekomendacją dla geniuszów policyjnych.

(Dokończenie nastąpi).

PODRÓŻE.

Przekopanie międzymorza Panama

przez

G. de Molinari.

(Dokończenie).

Rzecz niesłychana: w Panamie publiczność nie ma potrzeby, jak to bywa na naszych stacyach dróg żelaznych, cisnąć się do okienka kassy dla zaopatrzania się w bilet: siada się do wagonu a konduktor, taksamo jak w tramwaju, odbiera zapłatę i wzamian wręcza bilet jazdy. Systemat ten jest nadzwyczaj wygodny i, doprawdy, nie rozumiem po co każą nam nieraz całe kwadransy wyczekiwać na kupno biletu? Prze-

strzeń z Colon do Panamy przebywa się w przeciągu 3 godzin pomimo 21 stacyi pośrednich. Z chwilą rozpoczęcia robót w Panamie niektóre z nich znakomicie się rozwinęły; spotkać można sklepy utrzymywane przez Chińczyków i Niemców, szukających tutaj łatwej i szybkiej fortuny.

Przyroda Międzymorza Panamskiego nie posiada nic pociągającego ani powabnego. Gdyby nie szerokie liście bananów i kiście palm, można by zapomnieć, że się jest w kraju podzwrotnikowym. Okolica jest pokryta zielonością, ale ręka człowieka zburzyła i zniszczyła wszystko na przestrzeni kilku kilometrów. Ptaki, dzięki zwierzęta i ludzie, — wszystko to schroniło się przed napływem cywilizacyi.

Zatrzymaliśmy się w Bohio-Soldato, gdzie odbywają się przedstawienia cyrku amerykańskiego. Zwiedziliśmy roboty kolosalnych wydrążaczy. Cała ta przestrzeń kanału, około 45 kilometrów, z powodu podatności gruntu nie przedstawia żadnych trudności w prowadzeniu robót, poza nią jednakże rozpoczyna się przestrzeń, około 11 kilometrów, jądro górzyste międzymorza: *Culebra* i *l'Emperador*, wymagająca dla przebiecia kolosalnych sił; ztąd zbliżając się do Oceanu Spokojnego przybywa się do doliny *Rio-Grande*, gdzie niema już żadnych przeszkód w przekopywaniu.

Miasto Panama, którego mieszkańcy przygotowali iście królewskie przyjęcie dla *Lesseps'a*, ma około 30,000 mieszkańców. Przedewszystkiem jednakże zwiedziliśmy szpital położony za miastem. Doktor *Compagnon*, który kierował robotami przy jego budowie, pomieścił go w ładnej miejscowości, niedaleko od oceanu, gdzie przystępowi świeżego powietrza nie nie staje na zawadzie i gdzie jest wolnym od niezdolnego kurzu zasypujące całe międzymorze. Składa się on z czterdziestu budynków położonych w lesie, posiada wodowy szlachtuz, własny folwark i lodownię. Sale przeznaczone dla chorych są tak obszerne i tak przewietrzane, że najdelikatniejsze powonienie nie poczuje tu zapachu niewłaściwego. Znajduje się tu pomieszczenie dla 500 chorych. Służbę pełni pięciu lekarzy i trzydzieści Sióstr Miłosierdzia z zakonu Św. *Wincentego à Paulo*. Szpital ten zbudowany wielkim nakładem, jest prawdziwym dobrodziejstwem dla robotników, skutkiem niezdrowego klimatu, który zabija rocznie około 7% z ich personelu, a zabierałby z pewnością podwójną ilość, gdyby nie szpitale wzorowo urządzone, zarówno w Colon, jak i w Panamie.

Resztę dnia poświęciliśmy na zwiedzenie ujścia kanału do Oceanu Spokojnego zwanego *Boca*, a położonego na prawo od Panamy. Roboty w tem miejscu nie są tak daleko posunięte jak od strony Atlantyku, kanał jeszcze nie jest otwartym. Około czterdziestu domów i budynków służy robotnikom w liczbie 700 na mieszkanie, warsztaty, biura, pocztę i telegraf.

Następne dni spędziliśmy na zwiedzaniu robót w środkowej części kanału, gdzie, jak wspominałem, wypada walczyć z wielkimi przeciwnościami z powodu gór *Culebry* i innych; odbyliśmy tę drogę na mułach. Potrzeba tu za pomocą wydrążaczy, które są w stanie w przeciągu 10 godzin wykopać 3,000 metrów sześciennych gliny czerwonej, pokonywać nieprzewyciężone prawie trudności z powodu często spotykanych skał. Jestto najpotężniejsza walka człowieka z naturą. Nie można już dziś powątpiewać, że pierwszy będzie zwyciężca; jest to już tylko kwestya czasu i pieniędzy.

Panama, gdzieśmy przepędzili około 10 dni, jest położoną na prawym brzegu jednoimiennej zatoki. Miała ona niegdyś chwile kwitnienia za czasów panowania hiszpańskiego, a obecnie poczęła znów się odradzać. Trzęsienia ziemi, rewolucye, przeciwności klimatyczne, zruinowały ją, a ślady tych zniszczeń, nie łatwo zatrzeć. Domy, pomalowane na żółto z szerokimi niebieskimi lub szaremi balkonami a pokryte czerwona dachówką nie byłyby szpetnymi, gdyby miano o nich jakietakie staranie; ulice są proste, trzeba by je tylko raz na 100 lat wybrukować, a raz na rok zamieść. Posiada Panama kilka kościołów, z pśród nich katedralny, zbudowany w końcu siedm-

nastego wieku, ma nawet wygląd majestatyczny; lecz cóż z tego, kiedy to wszystko leży prawie w gruzach! Rozpoczęto odnowienie frontonu katedry, zniszczonej przed dwudziestu laty trzęsieniem ziemi i zdołałem naliczyć trzech robotników na rusztowaniu, którzy... odpoczywali.

Upadek pod względem religijnym i moralnym, bardzo znaczny; zato posiada Panama ruletę, pod protektoryatem rządu, i loterya, a obie cieszą się wielkiem powodzeniem.

Ala co chcecie? Trzeba się przecie także bawić, a tu niema ani teatrów ani balów. Miejsce przechadzki, zwane *las Bovedas*, nad brzegiem Oceanu, nie szczyci się wielką wziętością; można tam spotkać od czasu do czasu żołnierza, którego buty, jeżeli je ma, wymagają gwałtownie reparacyi, i więźniów siedzących za kratą, jak zwierzęta w ogrodzie zoologicznym. *La Savane*, inne miejsce przechadzek, byłoby przyjemniejszem, gdyby nie obłoki czerwonego kurzu i błota nieprzebyte w czasie deszczu. Można robić wycieczki na wyspę *Taboga*, gdzie urządzono coś w rodzaju stacyi klimatycznej, a dokąd udaliśmy się na statku parowym, łaskawie udzielonym *Lessepsowi* przez Rząd Kolumbijski i gdzie nas salwami armatniami witano; ale wymaga to około dwóch godzin czasu jazdy po Oceanie Spokojnym, który nie zawsze na to miano zasługuje.

Cóż pozostaje tedy robić w Panamie? Pieniądze. Rzeczywiście bankierzy i kupcy, zarówno miejscowi jak i przybysze, robią kolosalne majątki.

Praca nie może tu zazdrościć kapitałom.

Robotnicy zarabiają od 3½ do 4 piastrow dziennie. Służący każe sobie płacić 60 piastrow miesięcznie (240 fr.). Kucharz kosztuje 150 piastrow. Skutkiem zniesionej opłaty cłowej można dostać wiktuałów, różnego rodzaju win, likierów, gotowego ubrania i t. p. taniej, niż we Francji. Dzięki temu, życie nie jest nazbyt drogiem. Można znaleźć, całkowite utrzymanie z mieszkaniem za 50 a nawet 40 piastrow miesięcznie, naturalnie, nie w wielkim centralnym hotelu, który jest pod wszystkimi względami nieznośnym, w którym szeszury tańczą sarabandę na łózkach podróżników, a muchy nie pozwalają oka zmrużyć.

Wypada dodać, że nowy gubernator, generał *Santo Domingo Villa*, dla bezpieczeństwa i dogodności mieszkańców, zamianował municypalność złożoną w części z cudzoziemców w osobach znaczniejszych kupców i przedsiębiorców. Podobny stan nie jest wyjątkowym, gdyż takasama municypalność istnieje już od dawniejszego czasu w *Limie*, *Calao* i *Peru*, oddając nieocenione usługi.

Zapewne zdziwi to niejednego, że w kraju konstytucyjnym, rządonym na podobieństwo Stanów Zjednoczonych, rada municypalhe bywa nominowaną przez gubernatora. Trwa to od czasu wybuchu rewolucyi, która tu miała miejsce przed kilku laty.

Drugiego *Marca* wróciliśmy z Panamy do Colon a 3-go wsiedliśmy na *Washington*, jeden z najlepszych statków Kompanii Transatlantyckiej.

Od chwili zwiedzenia Kanału Panamskiego przez *Lesseps'a* i p. *Molinari* roboty zostały znakomicie naprzód posunięte. Jest wszelkie prawdopodobieństwo, iż genialne to dzieło, które o wiele skróci drogę z Europy do Australii i temsamem wpłynie dodatnio na handel, w przeciągu kilku lat zostanie ukończonem. Bez wątpienia, będzie to jeden z największych tryumfów nauki bieżącego stulecia.

Kronika działalności kobiecej.

— Panna *Wentzel* z *Kalisza*, odbywszy kurs nauki zegarmistrzostwa w *Genewie*, u zegarmistrza *Gostkowskiego*, który używa tam opinii

należytego uzdolnienia w fachu swoim, zamyśla osiąść w Warszawie i otworzyć zakład zegarmistrzowski. Zajęcie to przypada ze wszech miar na działy pracy kobiecej.

— Golarnia, obsługiwana przez kobiety, a założona w mieście naszym zeszłej jesieni, została zwinęta po kilkakrotnej zmianie lokalu. Pomysł był niefortunny i można było z góry przewidzieć taki koniec, nie żeby golarstwo sprzeczało się pozytywnie z pracą kobiecą, ale jest w tem zajęciu coś mało delikatnego, mało skromnego, coś z natury swej dla obu stron niemilego, co rzeczy w poprzek staje. Gdyby się to działo u Zulusów naprzykład, u Hotentotów, gdzieby golarzy nie było wcale, a tylko kobieta jakaś posiadała sztukę golenia bród, możnaby się na to zgodzić, ale u nas w Warszawie przypadek ten nie miał miejsca, więc innowacja była zgoła niepotrzebna, niczem nieusprawiedliwiona. Jest tak z niejedną gałęzią pracy. W ostateczności kobieta wykonywać ją może, ale dlaczego ma się do niej rzucić? Zwykle konkurencji z mężczyzną w takich razach nie wytrzyma i marnując czas i siły, wprowadzając zamęt w pojęcia i zwyczaje, pada ofiarą mało szczęśliwego pomysłu.

— Kobieta, jako pszczolarka i ogrodniczka, oto dobrze obrana praca na polu bardzo właściwym. *Gazeta Lubelska* donosi o p. Wereszko, która wyuczywszy się w Warszawie ogrodnictwa i pasiecznictwa, wzięła we wsi Hniszów w kilkoletnią dzierżawę ogród warzywno-owocowy, obejmujący móg trzypięćdziesiąt, przyległy park i znajdującą się w nim pasiekę, złożoną z 40 uli dawnego systemu. Za oddaną sobie połowę dochodów z ogrodu dzierżawczyni obowiązuje się ogród ten, oraz park, utrzymać i porządkować, dostając ze strony właściciela potrzebną do tego robociznę, nasiona, szczepy i drzewka młode. Pasiekę obowiązaną jest ona w przeciągu lat dwóch przemienić na systemat uli ramowych Lewickiego i zaprowadzić takowych 60, które, również, jak i robotników, powinien dostarczyć właściciel; dzierżawczyni zaś obowiązaną jest oddawać mu rocznie z pasieki 10 garncy miodu i 5 funtów wosku; reszta do niej należy.

Oprócz tego dzierżawczyni ma sobie zapewniwszy kontraktem oddzielny dom mieszkalny z opałem, utrzymanie dwóch krów na oborze dworskiej, móg gruntu w polu na kartofle, wreszcie sześć korcy zboża. *Gazeta Lubelska* podaje wszystkie te szczegóły z myślą dobrą, że może to objaśnić niejedną potrzebującą pracy kobietę, na jakich warunkach znaleźć ją sobie można. Dodać tu należy, że dzierżawienie mleka, tak zwany pacht krów, przedstawia bardzo korzystną i właściwą gałąź pracy kobiecej w domowym przemyśle wiejskim. Dobrze się także opłaca obecnie hodowla kur, ze względu na pokup jaj na wywóz zagraniczny. Około miliona rubli przynosi to krajowi. Wywóz indyków za granicę jest także znaczny.

— Bardzo smutna rzecz stała się wśród społeczeństwa naszego. *Schronienie nauczycielek*, jedna z najpożyteczniejszych instytucji, niezbędną prawie w każdym kraju cywilizowanym, tak mało liczy uczestniczek, że utrzymać się nie może o siłach własnych i oto prosi *Towarzystwo Dobroczynności* o udzielenie zasiłku z dochodu kwesty wielkanocnej. *Schronienie* jest to właściwie stowarzyszenie nauczycielek, które, wnosząc składkę 5 rs. rocznie, zapewniają bezpieczny byt dla starości swojej, która po pracowicie przeżytem życiu, przyjsie jednak musi, jak wieczór ciemny i chłodny, i jakże jest wtedy ciężko, gdy samotna, z sił opadła istota nie ma kąta, gdzieby się przylulić, gdzieby zmęczoną głowę skłonić mogła. Składka jest przecież tak mała, że uciążliwą być

nie może dla żadnej, nawet niższej nauczycielki domowej, która ma zapewnione najglówniejsze utrzymanie potrzeby: stół i pomieszkowanie. Dwa złote i groszy dwadzieścia kilka na miesiąc do skarboxki odkładając, zabezpieczyć sobie przyszłość i zyskać wypływający ztąd spokój, to chyba warto!...

Instytucje podobne istnieją i w zadawalniający sposób rozwijają się we wszystkich krajach Europy, czyżby zatem nie było to cechą smutnej lekkomyślności, gdyby u nas stało się inaczej? Oprócz nauczycielek, które w utrzymaniu *Schronienia* mają interes własny, powinnyby się tu poczuwać do pewnego obowiązku i matki, którym nauczycielki pomagają w najważniejszej sprawie ich życia—w wychowaniu dzieci. Stręczenie nauczycielek powinno w zupełności przejść na kantor *Schronienia*, na czem rodziny zyskać tylko mogą. Wychowanie jest rzeczą tak ważną, że dla żadnego pobocznego, choćby z innych względów ważnego celu, nie tu poświęcać nie można, przeciwie przypadek taki nie zachodzi tu, a przeciwie pośredniczenie przelożonej *Schronienia* między rodzinami a nauczycielkami, przedstawia rękojmię owiele większe, niżeli jakikolwiek kantor stręczeń dać to może.

A czyżby prócz tego każda z tych matek, która zdejmując sobie z barku połowę trudów wychowania, zdając je na nauczycielkę, nie powinna poczuwać się do obowiązku wywdzięczenia się temu stanowi, przez przystąpienie do stowarzyszenia, przez wnoszenie choćby w tym czasie tylko, w którym korzysta z pomocy wychowawczej nauczycielki, owej drobnej składki—nie całych trzech złotych miesięcznie? Taka malutka ofiara, a czyn taki dobry, zwłaszcza, gdyby się rozpow szechnił! Adres *Schronienia* jest: Warszawa, ulica Krucza, N. 7.

— We Lwowie zawiązanem zostało przez p. Laurę Biesiadecką „Stowarzyszenie oszczędności kobiet“—jak na czasie, jak dobroczynnie pod wszelkim względem oddziaływać mogące? dodawać nie potrzeba. *Biesiada Literacka* rzecz podnosząc, zestawia słusznie nowe to stowarzyszenie, z dawniejszem już nieco, przez zacną księżniczkę Helenę Sanguszkównę zawiązanem, a zobowiązaniem do możliwego zaopatrywania się rodzin jedynie w towar krajowy. Z oszczędnością łączy się to niewątpliwie, ale bezpośredni cel stowarzyszenia jest jeszcze inny, a ważny też bardzo—wspomaganie przemysłu swojego, niewypuszczanie poza granice kraju naszego grosza. Grosz ten, to pod pewnym względem jakgdyby krew narodowa—im więcej jej uchodzi, tem organizm słabnie, traci na żywotności, na zapasach, działalność jego wspomagających. Czytelnicy naszego pisma pamiętają zapewne podane w zeszłym kwartale nazwiska tych dobrych obywaterek, które do stowarzyszenia księżniczki Heleny przystąpiły; że większość należy do klas wyżej zamianych, zasługa tem większa, bo środków do zbytku, do wytworności już tu nie brakuje. Równie dobrymi obywatelkami nazwać trzeba panie, przystępujące do „Stowarzyszenia oszczędności kobiet.“ Szczęść im, Boże, przez wytrwałość w dobrem, patriotycznym tem przedsięwzięciu!

— Korrespondent *Gazety Świątecznej*, piszący ze wsi Ochotnej w Powiecie Pultuskim—donosi—że tamtejsze gospodynie oprócz płóciennictwa, prowadzonego tak pracowicie, że każda gospodyni wyrabia co rok po kilkadziesiąt łokci płótna, starczącego na potrzeby rodziny; oprócz tkanin wełnianych, zwanych wełniakami, w które ubierają się same, wyrabiają jeszcze inne, z wyglądu zupełnie podobne do kortów fabrycznych i których też mężczyźni używają na odzież, robioną

im przez krawców z miasteczek. Dobrze zrozumiana oszczędność nazywała-by i dworom używać podobnych materiałów domowego wyrobu na ubrania chłopców a nawet na codzienne ubrania panów. Panie wjskie dołożywszy tu staranności i wspomógły te wyroby smakiem swoim mogły-by doprowadzić je do potrzebnej doskonałości. Postawić tu można jako przykład p. Emilię Korsakową z Witebskiego, która takich wyrobów domową fabrykę na znaczną już skale iz bardzo dobrym skutkiem prowadzi.

— Silne dążenie parcia oile można pracy kobiecej na przemyśle domowym, nie tylko u nas się objawia. Jest to ruch względnie do tego, co zowiąc się postępowem, emancypacją kobiety wystąpiło w całej Europie kilkanaście lat temu w tył, zwrotem nowym, a raczej powrotem do dawnego porządku rzeczy. Usiłowano zdobywać kobiecie pracę na nowotworzonych drogach, niezawisłą, obecnie po licznych próbach i ciężkich zawodach, drogo opłacanych przez tysiące takich robotnic, filantropia stara się przeciwie wynajdywać kobiecie możliwe środki zarobku, partego na przemyśle domowym i oto dwie córki łomu, należące do najwyższej arystokracji Autryi, księżniczki Turn i Taxis, z urodzenia Węgerki, zamieszkujące zamek Ecskaer, w pobliżu miasta Wielki Beeskerek, chcą rozpow szechnić między kobietami z okolicy przemysł kobiercowy tkactwa domowego, w którym byłyby im mistrzyniami, zaczęły go się uczyć same. Sprowadziwszy sobie, jako nauczyciela, robotnika pracującego w fabryce dywanów w Wielkim Beeskerek przystąpiły do roboty na dużych, 150 centymetów długich, a metr jeden szerokiej krosnach ręcznych. Wyrób takich dywanów jest nowym w Węgrzech przemysłem i księżniczki wybrały go właśnie dla tego, aby uprzedzając konkurencją, uczynić go zaraz z początku przemysłem łbięcym.

— Bezimienna autorka Norwedzka podniosła głos przeciwko szwedzkim i norweskim powieściopisarzom/dramaturgom: Ibsen'owi, Björson'owi, Kjiellandowi i innym, z powodu, że dla łatwiejszych a barwnych efektów, wprowadzają do utworów swoich stounki, w społeczeństwie skandynawskim nieistniejące i tylko wyjątkowo zdarzające się wypadki wiarołomstwa małżeńskiego, miłści nieprawej. Autorka uważa to za „zerwanie węzła z krajem“ bo jest to naśladowaniem literatury francuzkiej, lecz surowej jeszcze gromi rzekładców podobnych powieści, którzy głównie dla zysku, dla łatwego zarobkowania na niwie literatury, sieją w łono swego narodu ziarno zgnilizny moralnej i rozkładają jego dotąd jeszcze uczciwe i czyste obyczaje. Razem nazywa ona taką działalność literacką „przeniewierzeniem się rodzimej idei swego narodu.“ Artykuł ten, był najpierw drukowanym w piśmie „Främat“ wychodzącym w Chrystiani, lecz następnie przedrukowanym został przez kilka pism innych. Publiczność Szwedzka domyśla się w bezimiennej pisarce osoby bardzo wysoko postawionej—królowej.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dokończenie powieści pod tyt.: **Ostatni Batory**, przez Mikołaja Josika; oraz arkusz 1-szy powieści pod tyt.: **Konieczność**, przez M. E. Braddon.

TREŚĆ: Na Golgocie, poezya. — Charaktery kobiet u Kraszewskiego, przez Maryą Ilnicką. — Na ruinach, powieść, przez Zygmunta Sarneckiego. — Dwaj poeci, (dalszy ciąg). — Nowiny paryzkie. — Podróże, (dokończenie), przez G. de Molinari. — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Dokończenie powieści pod tytułem: **Ostatni Batory**, przez Mikołaja Josika; oraz arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Rzecz konieczności**, przez E. Braddon. — 17 wzorów ubiorów i robót z opisem — **Sekreta gospodarskie**. — **Dyspozycją stołu**.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 25 Марта 1887 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

DODATEK DO BLUSZCZU.

Nr 14.

Wzory ubiorów i robót

z najlepszego pisma paryzkiego

MODE ILLUSTRÉE (Bazar)

jednocześnie i li tylko w Bluszczu ze wszystkich pism polskich są podawane.

Wstawka i korona do firanek szydełkową robotą.

Rycina Nr 11 i 12.

Wstawka i korona z grubych krętych nici kremowego koloru, każda z tych robót składa się z dwóch połączonych z sobą pasów dowolnej długości, a każdy pas powstaje z wykonania dwóch kolei: jednej w kierunku zwykłym, a drugiej powrotnym. Połączywszy obydwie pasy, należy brzegi wstawki zakończyć rzędem słupków, w koronce słupki robią się tylko przy górnym brzegu. Deseń stanowią koła z pikotami, pół-koła, tudzież pajączki całe i w połowie wykonane. Na każde kółko należy wykonać 15 pow. ocz., ostatnie 10 ocz. zamknąć, 5, 4 i 3 z tych 15 ocz. przerobić 3 ściśle oczkami łańcuszkowemi, co stanowi jeden słupek, poczem podług ryciny 11 która przedstawia część roboty wielkości naturalnej; 23 słupki, z których 2 i 3, a następnie każdy 3 i 4 z rzędu, przedzielony jednym pikotem, każdy pikot składa się z 4 pow. ocz. i 1 ści. łańc. ocz. przerobionego z poprzednim słup. (pierwsze dwa oczka z 15 ocz. założenia, stanowią połowę jednego pikota); ponieważ w pierwszej kolei należy wykonać pewną ilość kółek całkowitych i pewną ilość kółek niecałkowitych, a zatem w dalszym ciągu opisu roboty, nie będziemy już oznaczać ilości ocz. lecz tylko ilość słu. Kolej 1: 1 kółko z 9 słup. (wszystkie niepewne kółka wykończyć w kolei powrotnej), 1 kółko całkowite z 24 słup., osta-

tnie ści. łańc. oczko pikota, przerobić z ostatnim słupkiem poprzedniego częściowego kółka, * w dalszym ciągu tego kółka 6 słupków, 1 kółko z 6 słup., 1 kółko z 15 słupków, przyczem ostatni pikot należy przerobić z przedostatnim pikotem poprzedniego kółka; 1 kółko z 9 słupków, 1 kółko całkowite; zamiast pierwszego pikota należy wykonać 15 pow. ocz., przerobić z pierwszym pikotem poprzedniego kółka, poczem 6 pow. ocz., 1 ści. łańc. ocz. z 9 ocz. poprzednich, 15 pow. ocz. przerobić, 7 pow. ocz. z drugim pikotem tego samego co przedtem kółka przerobić, 6 pow. ocz., 1 ści. łańc. ocz. w pierwsze oczko z poprzednich 7 pow. ocz., 7 pow. ocz. przerobić z ostatnim piko-

tem całkowitego już kółka, 6 pow. ocz., 1 ściśle ocz. łańc. w pierwsze ocz. z poprzednich 7 pow. ocz., 2 pow. ocz., 1 ści. łańc. w te same ocz. co pierwsze ściśle ocz. tego pajączka, 6 pow. ocz. 1 ści. łańc. w 3 z 15 pow. ocz., 2 pow. ocz., 1 ściśle łańc. ocz. w poprzedni słupek kółka, od którego pajączek się rozpoczął, po zamknięciu tego kółka, należy od * powtórzyć, do potrzebnej długości roboty. W drugiej powrotnej kolei dopełniają się po kolei kółka rozpoczęte w poprzedniej kolei. W ten sam sposób wykonać drugą połowę roboty, łącząc kółka podług ryciny. Na środkowy pajączek w drugim kółku, zamiast pikota, wykonać 17 pow. ocz., przerobić z pik. poprzedniego kółka, 7 pow. ocz., 1 ści. łań. o. w 10 ocz. z 17 ocz., † 8 pow. ocz. przerobić z pik. poprzedniego kółka, 7 pow. o., 1 ści. łań. o. w 1 ocz. z poprzednich 8, od † 5 razy powtórzyć, poczem 1 ści. o. łańc. w te same oczko, z którym przerobiono 1 o. ści. łańc. pajączka, 7 pow. o., 1 ści. łańc. ocz. w 3 z 17 pow. o. 2 pow. ocz., 1 o. ści. łań. w ostatni słup., kółko od którego pajączek rozpoczął. Robotę otoczyć 2 kolejami, w 1 kolei wykonać po * 3 pow. o., 1 ści. łańc. w każdy brzożny pik., 8 o. pow., 3 ści. łańc. ocz. w środek połowy pajączka, 8 pow. ocz., od * powtórzyć. Kolej 2: ciągle naprzemian: 1 słu., 1 o. powiet. co 2 ocz. Pierwszą połowę koronki wykonać tak samo, w drugiej zachodzi różnica, z powodu dodatkowego kółka, stanowiącego rożek zęba. Dla uskutecznienia tej zmiany, należy w 1 kolei drugiej połowy koronki, zamiast jednego kółka przed kółkiem z 9 słup.,



Nr 1. Suknia z satin-merveilleux. Opis pierw. str. tabl.

Nr 2. Suknia z wełnianego materiału. Przód (Do ryc. 3 w Blu. Nr 15). Opis pierw. str. tabl.



Nr 3. Mantylka z gazy jedwabnej w pasy. Przęd. (Do ryc. 8). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 20--25.

Nr 4. Paltocik sukieny. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1--10.

Nr 5. Płaszczki z angielskiego materiału. Przęd. (Do ryc. 10). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 11--14.

Nr 6. Okrycie z repsu „ottoman”. Przęd. (Do ryc. 6, w Blu. Nr 15). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 42--47.

Nr 7. Okrycie z crepe-de-chine. Przęd. (Do ryc. 7 w Blu. Nr 15). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 48--52.

Nr 8. Mantylka z jedwabnej gazy w rzućnik. Plecy. (Do ryc. 3).

Nr 9. Okrycie z dzietowej i gładkiej (gazy jedwabnej). Opis pierw. str. tabl.

N 10. Płaszczki z angielskiego materiału. Plecy. (Do ryc. 5).

M O D Y P A R Y Z K I E.

wykonać 3 kółka jednakowe, zostawiając ostatnie 2 pow. ocz. nie przerobione; w dalszym ciągu roboty pilnować się wzoru, nadając koronce formę właściwą na rogach i kończąc ją wzdłuż górnego brzegu 2 kolejami, jak przy wstawce.

Galon pasmanteryjny do sukien, okryć i t. p.

Rycina Nr 16

Galon złożony z kółek metalowych obrobionych szydełkową robotą, czarnym jedwabiem. W środku każdego kółka znajduje się rozetka z sieczki dzetowej. Połączenie kółek stanowi tło z paciorkami; trzy atłasowe wypustki zakończone u brzegu pikotami, uzupełniają galon podług ryciny.

Koronka do kapeluszy, sukien i t. p.

Rycina Nr 17.

Koronka haftowana na tiulu koronkowym okrągłymi paciorkami i sieczką, tudzież blaszkami dzetowymi.

Przepisy gospodarskie.

Jajka sadzone na wędzonce.

Połączenie słodkiego i miłego smaku jaj, ze słonym

smakiem wędliny, lub wędzonej ryby, jest zawsze bardzo mile. Otóż pokrajać boczek wędzony gotowany, czyli po prostu mówiąc, wędzonkę, na plasterki cienkie, na patelnię wrzucić pół łyżki masła bez soli, zagotować, a gdy zawrze, wrzucić plasterki boczku i zaraz na wierzch puszczać jajka, pilnując, aby się białko ścięło, wtedy zaraz zdjąć z patelni i podać na stół. Można także jajka smarzyć na patelni z oznaczeniami na jajka otworami, kładąc pod każde jajko plasterek wędzonki, lepiej jednak na zwykłej patelni. Posypane na talerzu pieprzem, wyborne stanowią śniadanie.

L. C.

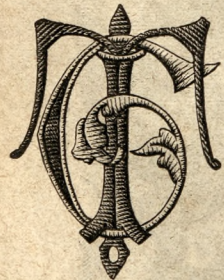
Obiad na pierwsze święto Wielkiejnocy.

1. Barszcz czysty burakowy i bulion.
2. Ozory i główizna na gorąco.
3. Indyczka lub cielęcina z różną z sałatą.
4. Mazurki.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robot w tym i w przyszłym numerze Bluszczu podać się mające.



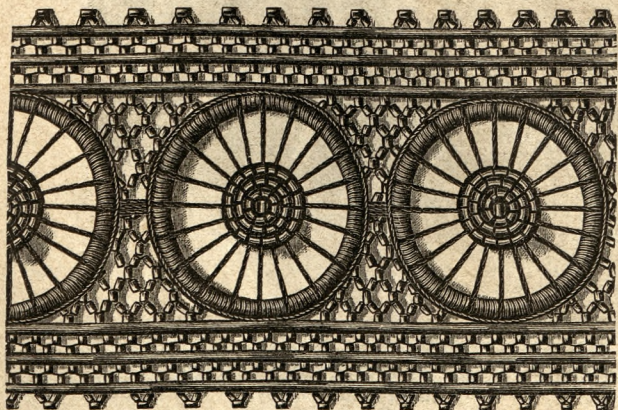
Nr 11. Wstawka do firanek robotą szydełkową. Wielkość naturalna. (Do ryc. 12).



Nr 15. Znak do bielizny.

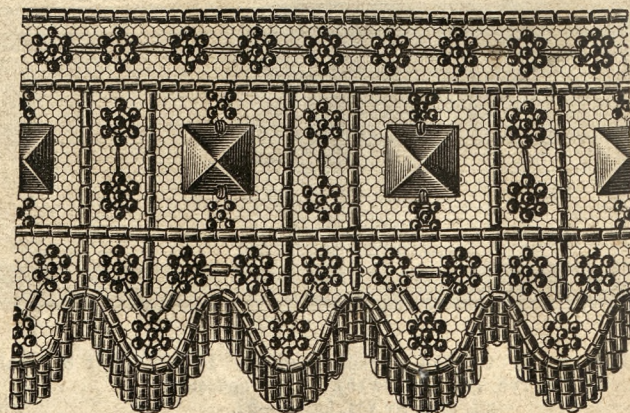


Nr 14. Znak do bielizny.



Nr 16. Galon pasmanteryjny do sukien, okryć i t. p. Wielkość naturalna.

Nr 12. Koronka do firanek robotą szydełkową. Wielkość naturalna. (Do ryc. 11).



Nr 17. Koronka do kapeluszy, sukien i t. p. Wielkość naturalna.